

SZCZUTEK

TYGODNIK SATYRYCZNO-POLITYCZNY

Rys Z. Czernański

Widmo wojny.



— No, panie Mussolini, nie rób pan ze mną komedji, tylko gadaj: mam się ukazać czy nie?!...



Trzęsienie ziemi w Japonji.

*„Tokio się pali! w wodzie Jokohama!
Morze pod niebo swe fale wydyma —
Zniszczone: Chiba, Atami, Koyama,
Gotemba, Ito, Kofu i Mishima.
Shomada gorze i Jokosu gorze,
Wyspa Oshima zapadła się w morze“.*

*„Po kraju baśni, po kwitnącym sadzie
Przeszły powodzi i pożaru ślupy —
Serce Japonji uległo zagładzie,
Niepogrzebane walają się trupy,
Okolo miljon skośnookich ludzi
Słońce do pracy więcej nie obudzi“.*

*„Ratunku! więcej mówić nie potrafię...
Umieram... duszę mą już Budda pieści...“
Młody Japończyk w radiotelegrafii,
Rzuciwszy świata te hiobowe wieści,
Spalił się w ogniu, który objął stację
I z Wielkim Buddą wszedł w komunikację.*

*Pijąc w kawiarni kawę albo mleko,
Leżąc z gazetą na wygodnej sofie
Myśli niejeden: Tokio tak daleko,
Że trudno szczerze współczuć katastrofie.
Jakie to szczęście, że wśród polskich łańców
Nie mamy ogniem ziejących wulkanów.*

*Precz z tem sobkostwem! kto ma kawał duszy
I serce w bryłę niezmienione lodu,
Tego do głębi wstrząśnie i poruszy
Niedola tego dzielnego narodu
I czując zgrozę i wielkość dramatu
Współczuć mu będzie jak własnemu bratu.*

HENRYK ZBIERZCHOWSKI.



Na Targach Wschodnich.

Przyjechała z Urugwayu wycieczka na III. Targi Wschodnie. Na dworcu przyjął ich prezydent Neumann i kompanja honorowa, poczem zawieziono ich pod ratusz, gdzie powitał gości Łabędź, Muzyka, muzyka i prezydent Neumann, następnie wyjechano w samochodach na miasto, a prez. Neumann pokazywał miłym przybyszom siłę i potęgę naszego kresowego grodu.

Pokazał im już katedrę, kawiarnię centralną, gmach im. Jaegermana przy ul. Akademickiej, kasyno, wreszcie auta zajeżdżają pod Izbę handlowo-przemysłową.

Piękny i słoneczny był dzień, rojno i gwarno było na ul. Akademickiej, na linii A—B, a po drugiej stronie pod Izbą, pełno w słońcu dziatwy w otoczeniu nianiek i mamek.

— Ah, excellent, magnifique! — zachwyca się jakiś dyplomata urugwayski, gdyż od czasu wizyty Focha weszło w modę entuzjazmować się się dziećmi.

— Oto, panowie, duma naszej wytwórczości, krajowej — rzekł prezydent Neumann, myśląc że excellencja zachwyca się — Izbą.

*

Dwóch pionierów polskiego handlu zwiedza „Targi“.

Jeden z nich powiada:

— Ty, Moric, ja tobi dam zagadke. Co to jest: *stoi i wiszi*!

— Raz stoi, raz wiszi? No, ty pas-kidnik.

— Ty mnie źle rozumisz, zadlaczego ty mówisz taki paskudstwa. Ja mówię *furt i stoi, furt i wiszi*.

— Zgadnij ty sam, jak ty taki mądry.

— No, popatrz się: tu jest wystawa od wód mineralnych. Tu jest Vichy i ona stoi!

*

Pan Olgierd Lubicz-Lubiczyński puścił się na handel i ma już „stoisko“ na Targach. Bogiem a prawdą powiedziawszy, eksponaty pana Olgierda pokazują, że firma ta najlepiej zdaje się reprezentuje fabryki kondensowanego powietrza. Obok stoi spółnik, typowy podbijacz akcji.

— Panie Olgierdzie, czem właściwie zajmuje się pański dom handlowy? Jakie robi interesy? Co największy dochód niesie?

— No... widzi pan... export — import, a najwięcej Rappaport!

*

Na placu III. Targów pełno młodych i starszych klusowniczek miłości, które wabią w swe sieci przyjezdnych.

Pan Wenanty Znędzalski z Psiej Wólki, oburzony na wyzywające stroje Lwowianek:

— Targi to targi, ale znowu niech

się tyle białogłów nie przejmuję tą nalepką: „Wystawiamy na III. Targach Wschodnich!“

Podwyżka płacy urzędniczej w Paragwaju.

(Czysta bajka.)

W Paragwaju było z urzędnikami coraz gorzej.

Przed pół rokiem mógł urzędnik kupić sobie choć stare buty.

Przed miesiącem widziano urzędników, którzy zdobywali się na bilet do kina, co prawda na III. miejsce.

Obecnie po otrzymaniu pensji pewien urzędnik z wielkiej radości dostał pewnego mankamentu żołądkowego. Wstąpił więc do stosownego apartamentu i cała pensja poszła na wstęp do tego lokalu.

Trzeba było zaradzić złemu.

Aż minister finansów wpadł na myśl.

— Podwyższyć im na 15 milionów franków paragwajskich na miesiąc!

I telegramy rozniosły po całym kraju wielkoduszność ministra. Chwalono go po gazetach, Związek Zawodowy urzędników zamówił dziękczynne nabożeństwo w archikatedrze.

A do ustawy o nowym uposażeniu dodano:

„Nowa pensja będzie wypłacana w jednocentimówkach. Każdy musi przeliczyć ją osobiście przy kasie i zabrać własnoręcznie do domu“.

Jedni urzędnicy umarli z głodu, nim zliczyli 15 milionów franków w jednocentimówkach.

Drudzy, wzięwszy ten ciężar na plecy, umarli z wycieńczenia.

I tak rozumny minister ocalił Paragwaj od nędzy urzędniczej. *pi.*

Hellada i Roma.

Mussolini to jest twardy *mus*, rzekł plk. Gonatas do Venizelosa i zgodził się, że Hellada ustąpiła Romie.

*

Mussolini *wygrywa* na *lirze*, a Grecja musi zmienić *drachmę* na „...*drapnę*“.

*

Będzie wojna, czy nie będzie wojna na Wschodzie?

Napewno skończy się na ...Targach Wschodnich.

*

Nie trzeba uważać handlarzy *salami* za zwycięzców z pod *Salaminy*...

*



W Atenach przypominano sobie biegacza z Maratonu i uznano, że niebezpiecznie jest prowadzić wojnę, gdy się ma armję ...szybkobiegaczy.

*

Mussoliniemu do sztambuchu: Można mieć czarną koszulę a przecież spotkać się z — „Czarną Ręką“.

*

Po Juliuszu Cezarze przyszedł August.

Dziś w Rzymie siedzi august udra-powany na Cezara. *pi.*

Ze świata zwierząt.

Stosownie do ducha czasu, zwierzęta urządziły wiec.

Wywiesiły, mimo protestu byków i indyków, czerwoną flagę, wystawiły tablicę: „Czworonogi wszystkich krajów łączcie się!“ i krzycząc głośno „hańba“, obrały na prezesa szympan-sa, poczem wielbłąd począł referować program uświadomionej fauny.

Zażądano ośmiogodzinnego czasu pracy dla psów łańcuchowych, ochrony kotów na starość, automatycznej podwyżki paszy dla baranów, uchwalono, że nie wolno zarzynać wołów bez zezwolenia organizacji. Tymczasem lasica woła:

— Niema osłów, gdzie są osły?

Dopiero cap wytłumaczył:

— Osły przeszły do burżuazji. Każdy z nich dostaje teraz portfel. *pi.*

Wola kobiety.

Opowieść na tle Jacklondonjady.

Cisza w powietrzu była przerażająca, a mróz przekroczył wszystkie, przez dotychczasowych pisarzy północy przyjęte granice. Alkohol w termometrze (rtęć dawno zamarzała) spadł niżej, niż jego najwięksi wyznawcy i czciciele, ba niżej niż marka niemiecka. Po niezmiernych odstępach śnieżnych pól chodziła samotna Śmierć, nie spotykając podróźnych tygodniami i myśląc z rozpaczą o samobójstwie.

W małym domku na Szlaku siedziało towarzystwo złożone z ośmiu osób, przy kominku, na którym wesoło trząskał ogień. Byli to ludzie dalekiej północy: płukacze złota, handlarze, poszukiwacze przygód, dżentelmeni i złodzieje, jak zwykle w tych okolicach. Przed wszystkimi rzucał się w oczy sędziwy Pembroke najpopularniejszy człowiek w tych stronach, Indianin z domowem wykształceniem. Rozkoszowano się ciepłem i omawiano minione zdarzenia. W izbie było duszno, gościom dokuczało pragnienie, więc mały usługujący murzynek krzątał się zwawo, rozlewając kipiącą kawę w drewniane miseczki. Dopelniewszy wrzątek sporą rację rumu, mały Jim

Nieporozumienie.



— Władku, co to jest, że w tem mieszkaniu z naprzeciwnika tak często zmieniają się lokatorzy. Co kilka tygodni widzę innego pana przy biurku.

— To nie mieszkanie, moje dziecko, to gabinet ministra!

ręką okutaną w grubą rękawicę wy-
suwał naczynia przez otwór w
drzwiach i cofał je błyskawicznie, po-
dając siedzącym porcje doskonałych
kawowych lodów, innym mazagran,
zależnie od zamówienia.

Pod wpływem chłodnego napoju,
który w rozgrzanej izbie działał orze-
źwiająco, rozmowy ożywiły się. John
Patersen zwrócił się do Pembroke'a:

— Powiedźcie mi, jaki djabeł sku-
sił was zeszłego roku do opuszczenia
St. Stefan wśród najstraszliwszej zi-
my? Zapasów mieliście pod dostatkiem,
żonę i gospodarstwo... Woleliście je-
dnak zaryzykować...

— To jest historia ciekawa i pou-
czająca — odpowiedział Indjanin wol-
no i jakgdyby z namysłem. Jeżeli ma-
cie ochotę posłuchać...

— Sprawa ta wiąże się z mojem
małżeństwem — zaczął ojciec Szlaku.
Znaliście moją żonę. Była córką wo-
dza. Kupiłem ją od ojca za dwadzie-
ścia strzelb, 100 funtów tytoniu, dwie
latarki elektryczne (w okolicach gdzie
noc trwa pół roku, latarki elektrycz-

ne posiadają dużą wartość. — Przyp.
tłomacza), tuzin chustek i trzy pary
skarpetek. Uprzednio pokonałem
wszystkich jej wielbicieli, trzech w
walce na noże, resztę w boksie. Ży-
liśmy szczęśliwie. Kochała mnie pra-
wdziwie i była mi wierna. Ja uwiel-
białem ją bezgranicznie. Nazywałem
ją Li. Miała złote włosy i oczy czar-
ne jak węgiel. Pomyślcie u Indjanki!

Za każdym powrotem z polowu,
przywoziłem jej dary kupione w mie-
ście. Drobiazgi najczęściej. Chociaż
odbyła już ze mną dalekie podróże,
psami powoziła świetnie, a na nar-
tach stała pewniej niż niejeden z was,
nie zabierałem jej nigdy ze sobą do
większych miast. Nie chciałem jej de-
moralizować cywilizacją. A jednak...

Z początkiem minionej zimy, odpoc-
zywałem po powrocie, napawając się
rozkoszami domowego ogniska. Li
przywoziłem kolczyki, za które zapła-
cłem rzetelnie, sporo uncji złotego
piasku. Uradował ją ten dar niezmiernie.
Wypoczywałem więc, z niepokojem
oczekując dalszych dni zimy, któ-

ra szła ostra i straszna. Nie wiem
czy upłynęły trzy tygodnie, gdy Li
zapropoNOWAŁA mi wyprawę do St.
Clair, małej stacyjki na Szlaku odle-
głej o 400 mil. Pierwszego dnia na-
zwałem projekt szaleństwem, drugie-
go posprzeczałem się z nią. Przez
cztery dni nie mówiliśmy ze sobą. Po
tygodniu zdołała mi wmówić, że w
St. Clair uzupełnimy niezbędne zapa-
sy, gdyż inaczej nie przetrzymamy zi-
my. Wiedziałem, że to pretekst, ale
po dziesięciu dniach uległem.

Zaprzągałem psy, władowałem ży-
wność na sanki i ruszyliśmy. Obiecy-
wałem sobie przebyć drogę w dzie-
sięć dni, o ile pogoda będzie sprzy-
jać. Szóstego dnia przyszła wichura.
Trwała dzień i noc. Ósmego dnia zro-
zumiałem coś, czego dziś jeszcze po-
jąć nie jestem w stanie. Zabłądziliś-
my. Dalszy ciąg wyobrażacie sobie
już wszyscy. Chciałem zawrócić. Był
czas jeszcze, ale Li nie chciała nawet
myśleć o tem. Tylko naprzód i na-
przód! Dwunastego dnia skończyło
się z psami. Dwa pożarły się nawza-
jem, jeden utopił się w przerębli. Po-
zostałego przewodnika zjedliśmy z Li,
ratując ostatnie woreczki z mąką. Za-
klinałem ją by wrócić, ale ta kobieta,
pokaleczona i napół zmarznięta знаła
tylko jedno słowo: „Naprzód!” Czer-
nastego dnia zemdlą przy ognisku
i wtedy poraz pierwszy usłyszałem
jej kaszel. Wiedziałem co to znaczy.
Gdy gotowałem sznurówki naszych
mokasynów, dała mi swój woreczek
z mąką. Chowała ją dla mnie przez
dwa dni.

Pembroke umilkł i łza spłynęła
powoli po jego szlachetnem obliczu.
Słuchacze milczeli.

— Dwa dni jeszcze czołgaliśmy się,
posuwając się na kolanach. Trzecie-
go dnia znalazły nas psy z misji, któ-
re przyprowadziły ludzi. Byliśmy o
parę mil ledwie od St. Clair. Urato-
wałem Li ale tylko na parę tygodni.
Przeczuwałem to. Znam dobrze ten
rodzaj kaszlu na Szlaku. Żadna ko-
bieta go nie przetrzyma. Umarła na
mojem ręku.

W izbie zapanowało milczenie. Po
dobrej chwili dopiero spytał Pater-
sen:

— I nie wyjawiała ci nigdy, co ją
tak gnało do St. Clair wśród straszli-
wej zimy i burzy?

— Owszem! Wyznała mi to dopie-
ro na łożu śmierci — rzekł wolno
Pembroke, topiąc w Patersenie swe
stalowe żrenice. Chciała koniecznie
w St. Clair pokazać swej przyjaciółce
swoje nowe kolczyki. Wel.

Między literatami.

— Dlaczegoś w ostatnich czasach
taki zgryźliwy?

— Przyczyna prosta: Nie mam co
gryść!

Dodatek „SZCZUTKA“

Cena ogłoszeń wynosi 1,800.000 Mp. za całą stronę. — Mniejsze ogłoszenia w stosunku do pomiaru strony.



Podstuchane rozmowy.

— Czy pan kocha swoją matkę?
— Proszę pani, przecież tego nie da się uniknąć.

*

— I mogę robić co chcę, droga pani, o moją Lusię nikt się nie oświadcza.

— A może córeczka pani ma za małe piersi?

*

— Czy to synek pani? Ależ wykapany ojciec!

— Nieprawda? A mój mąż ciągle

fantazjuje, że on jest do niego podobny.

*

— Panno Andziu, czemu pani nie siada? Niema pani nic do siedzenia?

— Do siedzenia mam, tylko niema krzeselka.

Kochany! Szczutku!

Siedzę w nocnej kawiarni. Opodal jakaś para. On tak mówi do niej:

— Zapłaciłem ci lody i pięć andrutów, zafundowałem ci kino, wziąłem cię na kolację, teraz możesz chyba z tego wyciągnąć konsekwencje.

I umarli wstać gotowi.

Niedawno mój przyjaciel Adaś, dobry i wesoły chłop, pisze mi kartę, abym czekał na niego na dworcu, bo będzie przez Lwów przejeżdżał i chce mi dług oddać.

Choć była to późna nocna godzina, idę na dworzec. Pociąg zajeżdża, przeglądam wszystkie okna, lecz w żadnym nie widać Adasia.

— Ha — myślę sobie — pewnie łajdakowi żal się zrobiło obietnicy i teraz kryje się przedemną!

Równocześnie jednak strzelił mi do głowy kapitalny pomysł.

Poczynam biegać wzdłuż wagonów i krzyczeć zmienionym głosem:

— Wóóódka Baaaczewskiego! — Wóóódka Baaaczewskiego!

W tej chwili z trzaskiem spuszcza się okno w trzeciej klasie — i ktoś woła:

— Dawaj tu! dawaj tu!

Był to Adaś...

W restauracji.

Kucharz: Panie, dostajemy takie po-dłe mięso, że goście połowę zostawiają zawsze na talerzu. Co robić?

Restaurator: Zrób pan z tych resztek siekane sznycle a la Piłsudski, to goście zeżrą.

Nieprawdą jest

jakoby książki były **drogie**.
Każdy może się o tem przekonać,
żądając nadesłania **bezpłatnie**
literackiego wyczerpującego katalogu
wydawnictw

SPÓŁKI NAKŁADOWEJ

„ODRODZENIE“

Lwów, ul. Zimorowicza I. 15.

zawierającego interesujące powieści,
sensacyjne, frywolne i humorystyczne,
książki popularne, naukowe i gospo-
darcze, książki dla dzieci i młodzieży,
wydawnictwa kabaretowe, „Biblioteka
Teatrów Amatorskich“ i „Biblioteczka
Teatralna dla dzieci“, etc.

Ceny śmiesznie niskie!

OKrycia, Kostjunny any.

Kar
Skwara

Harzama, Marszałkowska 144.
I p. 570

Garderoba męska



Ważne rozporządzenie Ministerstwa Zdrowia.

Ministerstwo Zdrowia Publicznego ogłosiło w nrze 24. Dziennika ustaw z dnia 25. sierpnia 1923 r., poz. 653, rozporządzenie z dnia 25. lipca 1923 w przedmiocie ochrony czystości powietrza w urzędach, biurach itp.

Wedle tego rozporządzenia urzędy, biura i „wszelkie inne pomieszczenia publiczne” powinny być utrzymywane w czystości, odkurzane i przewietrzane, przy wejściu powinna się znajdować „słomianka lub inna wycieraczka do obuwia”, jakoteż spluwaczka z płynem odkażającym — no i wreszcie umywalnia z bieżącą wodą, mydło i ręcznik, (te ostatnie przedmioty szczególnie w „innych pomieszczeniach publicznych”).

Redakcja *Szczotka* proponuje wydanie następującego rozporządzenia uzupełniającego, odnoszącego się wyłącznie do urzędów państwowych.

§ 1.

Biuro musi być tak obszerne, aby zawierało co najmniej 2 (dwa) metry sześciennego powietrza, natomiast może się znajdować w suterrenach lub na strychu, być bez okna, względnie okno może wychodzić na ciemne i cuchnące podwórko.

§ 2.

Ze względów oszczędnościowych, aby się wymieniona w § 3. punkt 1 rozporządzenia z dnia 25. lipca 1923 „słomianka lub inna wycieraczka” rychło nie niszczyła, zarządza się w porozumieniu z Ministerstwem Skarbu, że należy wycierać nogi w ten sposób, aby każdą z nich pociągnąć o „słomiankę lub inną wycieraczkę” najwyżej dwa razy.

§ 3.

Do wymienionej w § 3. punkt 3. rozporządzenia z dnia 25. lipca 1923 w spluwaczki z płynem odkażającym wolno pluć najwyżej trzy razy dziennie.

W każdym urzędzie należy zaprowadzić czterotygodniowy kurs nauki plucia do samego środka spluwaczki. Winni pluć na ściany spluwaczek podlegają karze.

§ 4.

Zabrania się wycierania nosa ręką lub rękawem. Należy to czynić tylko chustką, zmienianą przynajmniej raz na miesiąc. Tak ulubione w biurach dłubanie palcem w nosie, będzie uważane za wycieranie nosa ręką.

§ 5.

Ponieważ w pomieszczeniach przeznaczonych dla niepalących, nie wolno palić w myśl § 4. punkt 6. rozpo-

rzędzenia z d. 25. lipca 1923, przełożyć należy nad wejściem do każdego biura (podobnie jak w pociągach) umieścić napis: „Dla palących” względnie „Dla niepalących”. Pozostawia się decyzji naczelnika urzędu, czy mają też być osobne biura „Dla dam”.

§ 6.

Jedzenie, spożywane w biurach, a względnie podczas godzin urzędowych, powinno być lekkostrawne, by urzędnik następnie nie zanieczyszczał powietrza (§ 4. punkt 1. rozporządzenia z dnia 25. lipca 1923).

§ 7.

W ustępie nie wolno przebywać ponad 30 minut. Nie wolno w nim używać druków urzędowych, jako szkodliwych zdrowiu, gdyż do wiadomego celu nadaje się jedynie papier czysty (przynajmniej z jednej strony) i niezbyt sztywny.

Rozporządzenie niniejsze wchodzi w życie z dniem ogłoszenia. *Mar.*

Po sezonie letnim.

W pewnym miasteczku zbankrutował aptekarz, który był zawsze solidnym i porządnym człowiekiem.

Zapytany o powód bankructwa, odpowiedział:

— Jak nie miałem zbankrutować, kiedy nasz lekarz zapisuje chorym jedynie *świeże powietrze*.

NOWY TYP
WYDAWNICTWA!

WESOŁE OBRAZKI

dla dzieci

WIERSZEM UŁOŻYŁ H. ZBIERZCHOWSKI.

RYUNKI K. GRUSA.

SKŁAD GŁÓWNY:

Spółka Akcyjna Wydawnicza
we Lwowie, : Zimorowicza 5.

Cena egz. 6.000 Mp.

: Odsprzedawcy poszukiwani. :



Oryginał.

(Z angielskiego.)

Ddy Daniel Tramp sprowadził się do Bostonu, nie miał w sobie nic z artysty i nikt go też nie znał, choć pochodził z rodziny tak porządnej, jak każda inna tego samego rodzaju. Poczem John Duke opowiedział mi historję, wcale oryginalną, tego małego rentjera, którego nazwisko kilka lat temu nie schodziło z łamów „Trąby Bostońskiej.”

— Przedewszystkiem, mój panie, nie wiedział zrazu nikt, gdy sprowadził się do nas, że na imię było mu Dan. Dowiedzieliśmy się o tem dopiero długo później, dzięki niedyskrecji listonosza, który pilnie czytywał koperty listów, adresowanych do tego oryginała.

Ten obmierzły staruch nie odzywał się do nikogo. Nie było poprostu sposobu, by wyciągnąć zeń bodaj naj-

marniejsze słówko, wszystko jedno, mądre czy głupie. Wydawało się to rzeczą wielce podejrzaną w oczach całej naszej dzielnicy. Bo, czy słyszał ktoś coś podobnego, żeby człowiek ni stąd ni zowąd mógł nie odzywać się do nikogo i milczał, jak zaklęty? Podpatrywaliśmy czujnie życie Dana, by dowiedzieć się czy piśnie jedno bodaj słówko. Nie żądaliśmy zresztą niczego nadzwyczajnego, żadnej oracji. Uchowaj Boże. Chcieliśmy tylko paru słów. Najobojętniejszych, choćby o zeszłorocznej pogodzie. Prózne trudy. Zacięła się bestja i tyle!

Nagle gruchnęło po mieście, że Dan się żeni z Dorotą Marrowbridge. Istota ta nie miała w sobie nic nadprzyrodzonego, a mogła nawet Mormonowi odebrać ochotę od żeniaczki.

Dan miał z Dorotą syna. Jak? Każdemu wiadomo. Dość na tem, że przez nieostrożność wpuścił go do

kotła z wrzącą wodą. Skutek tej kąpieli był zupełnie naturalny. Biedne dziecko skurczyło się, jak śliwka suszona. Ale i wobec tego nieszczęścia nie znalazł Dan ani jednego słowa na swe usprawiedliwienie. Milcząco wziął syna na ręce, milcząco ułożył go na półmisku i milcząco zaniósł do spiżarni, dając znak żonie — oczywista znów milcząco — że pragnie, by biedne dziecko ochłodziło.

I to było wszystko. A jednak pod koniec czwartego roku małżeńskiego pożycia zaczęła go Dorota zdradzać z jakimś Ciceronem Plush, który grywał w piłkę nożną na rachunek pewnego klubu sportowego z Ohio. Był to człowiek ogromnej zręczności i wielce w grze szczęśliwy, gdyż przeciwników swych, co niebezpieczniejszych uśmiercał, częstując ich zatrutymi cukierkami. Krótko mówiąc, Ciceron Plush zasnął w ramionach Doroty wszelkich delicyj ziemskiego szczęścia. Cieszyliśmy się okrutnie tem zdarzeniem, bo każdy ciekaw był, co na to powie Dan. Otóż nie powiedział nic. Zatłukł poprostu Cicerona uderzeniem piernata, a przy sposobności pozbawił życia i Dorotę.

Uwięziono go natychmiast i postawiono z punktu przed sądem nieco fantastycznym, bo złożonym z jego najbliższych sąsiadów. Dan wciąż jeszcze milczał, jak kamień. Wówczas Jack Feller, oburzony do żywego tym nieugiętym cynizmem, zapytał go, czy ma coś do przytoczenia na swą obronę. Dan wznosił oczy ku niebu i dał znak — znówu oczywista głową — że nic niema do powiedzenia. Przebrała się miara naszej cierpliwości. Skazaliśmy go jednomyślnie na śmierć przez powieszenie, które miało tak długo trwać, póki ducha nie wyzionie. Harry Birdway ofiarował się bezinteresownie na kata.

Gdy Dan ukazał się u podnóża szubienicy, przyjęły go wrzaski wściekłości i oburzenia... — Pewien apoplektyk padł trupem, uduszony w ciżbie. Zgnieciono go jednak między dwoma materacami, by nie nadwyżyć biedakowi kości...

Wreszcie wywindowano ohydneho Dana na szafot, a Harry zarzucił mu zgrabnie konopny krawat na szyję i zepechnął go w mgnieniu oka w próżnię. Wówczas, mój panie, stała się rzecz jedyna w świecie, nienotowana dotąd w żadnej kronice wieszania, ten stary milczek nie wywiesił języka. Wściekłość ogarnęła nas wszystkich na widok tej upartej przekory. Harry Birdway wspiął się na szubienicę i otworzył wisielcowi usta rączką od parasola. Przekonał się wówczas, że ten wstrętny staruch zapomniał poprostu języka w gębie czyli inaczej, nie miał go wcale. — I z tej przyczyny, mój panie, przeszedł Dan przez życie, jak dzwon bez serca. X.

„GAZETA BANKOWA”

Największe w kraju czasopismo ekonomiczne

WYCHODZI DWA RAZY KAŻDEGO MIESIĄCA.

REDAKCJA: Lwów, ul. Akademicka 4. — Telefon Nr. 581. — ADMINISTRACJA: Lwów, Zimorowicza 5.

PRZEDPŁATA: Kwartalnie 6 Zł. p.

Prenumerata zagraniczna o 100% drożej.



„SPORT”

Urzędowy organ Polskich Związków:
Pływackiego, Szermierzy, Polskich Towarz. Atletycznych,
Łyżwiarского, Lwowskiego Zw. Okr. Piłki Nożnej, Tow.
Zabaw Ruchowych we Lwowie i Centrali Akademickich
Związków Sportowych w Warszawie.

Wydawca: Spółka Akc. Wyd. Redaktor nacz. prof. R. Wacek

Cena numeru 6.000 Mp., Prenumerata kwart. 72.000 Mp.
miesięczna 16.000 Mp.

Adres Wydawnictwa: Lwów, ul. Podwale 3. Tel. 24.

Prenumerujcie „SPORT” — jedyny sportowy tygodnik na
Kresach Wschodnich.

GAZETA PORANNA

ILUSTROWANY DZIENNIK KRESÓW WSCHODNICH

wychodzi codziennie, dając bogaty przegląd życia intelektualnego
i politycznego kresów wschodnich.

Prenumerata miesięczna 54.000— Mkp. — Z dostawą na miejscu lub
z przesyłką pocztową 60.000— Mkp. — Za granicą 70.000— Mkp.
Redakcja: Lwów, ul. Senatorska 6. — Administracja ul. Sokoła 4.
Telefon Redakcji w dzień 15., w nocy 230. — Telefon Administracji 291.

(Prawie hymn.)

Ty, który pracujesz, buty-li czyścisz
buchalter czy biuralistka ślęcząca
[w banku,
ty, którego twarz od trosk i zawiści
zmięta jest i pozieleniała, jak banknot.

Krawiec naprzykład. Pociś, ty zbójcu,
te spodnie przyniósł, jeśli być szczery
[chcesz?

Ty przecież zupełnie nie masz wujów,
a jeśli masz, to niebogatego, nie
[umiera i nie w Ameryce.

Mówię ci ja odcytany i mądry:
Ani Puszkina, ani Szczepkina, ani
[Wróbel,
ani w pozę, ani w farbę, ani w Bóg
[wie skąd rym
nie wierzyli, a wierzyli w rubel.

Żyjesz, pracujesz, nauzeraj się, nadręcz.
Już siwizna ci w brodzie się krzewi,
a widziałeś ty kiedy jak pomarańcz
rośnie sobie i rośnie na drzewie?

Pocisz się i pracujesz, pracujesz i po-
[cisz,
nacięła się i namnożyła jakieś tam
[dzieci,
chłopcy — buchalterowie, dziewczyn-
[ki — i te chociaż
będą się pocić, jak pocili się ci.

A ja tymczasem wczoraj, choć nikt
[mnie nie urzekł,
ledwo wyszedłem na miasto,
zgarnąłem w chemins-de-fer'a na szó-
[stej turze.
trzy tysiące dwieście — za sto.

Nic nie szkodzi, jeżeli ktoś setny raz
szczyrzy zęby, jakby zgniótł tym w
[proch cię,
że sobie w talji taki to a taki as
miętko naznaczył paznokciem.

Próżno gracza spojrzeniem mnie błą-
[gasz,
mrużąc oczy błyszczące i mokre.
Ja wyładowywałem, jak uparty tra-
[garz
wyładowuje napełniony okręt.

Sława temu, kto pierwszy wynalazł,
jak bez pracy, metodą najpłytszą,
dokładnie, sumiennie i zaraz
kieszenie bliźniemu wywrócić i wy-
[trząść.

I kiedy mówią mi, że praca i t. d.,
[ukazując na mnie,
jakby na starej tarce tarł kto chrzą-
[nu szczątki,
ja dobrodusznie pytam, ujawszy za
ramię:
„a pan dokupuje do piątki?...“

Włodzimierz Majakowski
przełożył Bruno Jasiński.



— Dlaczego pan maluje same akty?

— Bo, widzi pani, mody damskie się tak szalenie szybko zmieniają, że strój na obrazie staje się już niemodny, zanim obraz zdąży wyschnąć.

Na nauce historii.

— Pietruszka, powiedz mi, który był ostatni król w Polsce?

— Król Ferdynand, proszę pana psora.

— Czyś zdurniał?

— Przecież wszystkie dzienniki pisały, że przed kilku tygodniami był tu król rumuński Ferdynand!

Znakomity pomysł.

— Czytałeś? Teatr Bogusławskiego przestaje istnieć po niespełna dwuletnim istnieniu. W sali tego teatru odbywać się będą odtąd przedstawienia Teatru Rozmaitości. Jak można

taki despekt wyrządzić pamięci Bogusławskiego?!

— Możeby naszą „Comédie française“ nazywać odtąd „Bogusławskiego Teatr Rozmaitości.“ Mar

Lapsus.

Parę już lat temu, gdy prokurator lwowski Malina wniósł przed przysięgłymi oskarżenie, w którym między innymi zdarzył mu się taki lapsus:

— Oskarżony przy dokonywaniu swych oszustw podawał się wogóle za urzędnika policji, co chyba najlepiej świadczy o jego bezczelności i braku wszelkiej ambicji...

Podróż Magdaleny Samonarwaniec do Kossakowic.

I.

Znana autorka *Grzechu na ustach* wyjechała na letnie wywczasy do willi „Samonarwanówki” w Kossakowicach. Wyjazd i sama podróż obfitowały w ciekawe epizody, których niepodobna nie opisać, ze względu na szaloną popularność autorki, jaką zdobyła popelniając „Grzech w ustach”, który zresztą tak bardzo rozpowszechniony jest u obojga płci. Odprawiał ją na dworzec znany rasowiec hr. Adolary, po drodze jednak tramwaj najechał wlokącą się za nim rasę. Adolary zemdlął. Na szczęście ucieło tylko ogon, reszta bowiem rasowego cielska spoczywała na pierśsiach Adolarego. Auto z lapizlazuli odwiozło rasę do kliniki ginekologicznej, gdzie zaraz dokonano amputacji ślepej kiszki. Hr. Adolary wkrótce przyszedł do siebie, i z przerażeniem spostrzegł, że brak mu kilku członków, których ubytek może niwecząco odbić się na jego potomstwie. Dawszy znać na policję, powlókł się za Magdaleną, której sążnisty tren welurowej sukni, wzbijał tumany fjakerskiego proszku, leżącego odłogiem na ulicy. Na rogu oczekiwały Magdaleny: Mniszkówna, ta sama, co prowadziła „Romans z Samonarwanicem”, obok zaś stał ten „czy chce lub nie chce być dowcipnym”. W dużym palcu od nogi trzymał ogromny bukiet, złożony ze strączek senesu i białej pokrzywy, w dorożce siedziała pysznie rozparta Steńka, a siedziała tak zgrabnie, że nie było najmniejszej wątpliwości iż ojciec jej był fjakrem od urodzenia. W piersi miała wetkniętą dużą agrafkę, której jedyną ozdobą było autentyczne jajo Kolumba, oprawione w szereg bezcennych djamentów, zrobionych z macicy perłowej. Wyborna woń krajowej perfumy „Józefinki”, zdradza jej szlachetne urodzenie.

Hr. Idalja nie przyszła, stał się bowiem fatalny wypadek. Latająca jej prawa nerka, która zwykle siedziała na kanapie, tym razem wyszła na stronę i więcej już nie wróciła, wskutek czego posłano po Zakład czyszczenia miasta im. Talarida.

Całe towarzystwo pędem puściło się na dworzec.

Obok dworca przejeżdżał Ordynat, kłaniając się Mniszkównie, która w szoferze rozpoznała łatwo swego pannie. Wchodząc na dworzec rzuciła parę marek „Trędowatej”, której tu było stałe miejsce żebrania. Pakier wyrwał Magdalenie z rąk angielską w kwiaty walizę i znikł w tłumie. Na peronie ścisk nie do uwierzenia. Tłum publiczności rozbestwionej zęgnął z Warszawy wracającego do Rzymu

Ojca Gonocockiego. Błogosławiony staruszek zęgnął asbestowym krzyżem rozmodlone tłumy, a bliżej stojącym rozdawał rupturowe paski św. Franciszka. Adolary przyniósł Magdalenie bilety do przedziału opatrzonego cyfrą podwójnego „0”, gdzie też złożono bagaże składające się z ręcznej torebki „a la Pompadour”, z której co chwilę wyławiała łebek świeżo oswojona „Spirocheta”. — Myrdając oczkami i patrząc figlarnie z pod ogonka, stała się wkrótce podziwem przewalających się z miejsca na miejsce tłumów. Hr. Adolary kupił na drogę Magdalenie książeczkę pudru Seegena, polecając ją jako wyborną lekturę na drogę.

Nagle ryknął portjer, wiatr stojący na przeciagu powtórzył je konduktorowi, a ten maszyniście. Pociąg stał jak zamurowany. Przy bliższym poznaniu pokazało się, że maszynista w celu higieniczno-sportowym kończył partję „samogwałtu” w krokiety, systemem Müllera. Teraz nastąpiła chwila pożegnania. Hr. Adolary rzucił się Magdalenie na łeb, na szyję, a całując obie ręce, złane perfumą św. Franciszka, obiecał przyjechać do Kossakowic. Mniszkówna złączona ustami z Magdaleną, popelniała jeszcze raz grzech na ustach, ten zaś co chciał lub nie chciał być dowcipny, z lubieżnością zlizywał fjakerski proszek z nóg Magdaleny, obciśniętych w buciki z bawolej skóry marki „Ola”. Steńka, hamując dyskretnie łzy, jedna po drugiej do torebki naliczyła ich 50, a kiedy żal rozsadał uroczyste jej piersi jeszcze bardziej, rzekła podając Magdalenie dwa melony naturalnej wielkości: „Te owoce są mniej mdłe niż twoje utwory”. Tu Steńka zalała się łzami, a te uniosły ją w stronę wychodu. Magdalena zwinnie połykała gorzkie łzy, a nie chcąc dać poznać po sobie prędko uskokczyła do przedziału opatrzonego znakiem 66. Pociąg ruszył ostro z kopyta, zaś zdążyła widać było kiwające się chusteczki, które wystawione na ostry przewiew wiatru, dobrą miały sposobność do wyschnięcia. Hr. Adolary zwinnie przerzucił monokl z oka do oka i dostojnie wyszedł na ulicę. Tu wmiészawszy się w tłum, był rad że go nikt nie poznawał.

II.

W POCIĄGU.

Wzruszona pożegnaniem Magdaleny, usiadła wygodnie na półce, skąd wygodnie mogła obserwować krajobraz. Wyciągnawszy z torebki scyzoryk, wykładany psiakością, rozciąła wiolinowe kartki papieru wybornie pisanej książeczki Seegena. —

„Lepsze jak moje” — westchnęła, przyczem poprawiła guziczki od stannika, z których dwa z nadmiaru westchnień odpadły. Kiedy ją książka znudziła, zjadła z niemałym apetytem smaczne owoce, ofiarowanej przez Steńkę dyni, kiedy jednak przypomniała sobie jej złośliwe porównanie ze wstrętem wypluła. Za moje serce, za to, żeś duszę ze siebie wydarła. Podła! A rozhuśtane bufory zgrzytem wtórowały: Podła, podła, podła! Pociąg mknął z szybkością 100 węzłów morskich na godzinę. Magdalena dotychczas zajęta sobą i zabawą swych myśli, dopiero teraz ciekawie zaczęła się rozglądać wokoło. Naprzeciw na kanapie dwie bakterje tyfusu ujawniły się pod boki tańczyły zawzięcie fokstrotta.

Na ławce tuż obok Magdaleny siedział jakiś młody pan, który widocznie jechał pierwszy raz. Początkowo błąd, w miarę dalszej podróży, szlachetną część jego oblicza przybierała odcień lekko zielonkawy, — z czoła pot lał się obficie, szczęki zaś i usta i cała dziwnie nerwowo wygięta postać, wcale dokładnie wskazywała iż należy do przeżuwaczy. „Morska choroba” — zawyrokowała Magdalena, rada ze swej trafnej dagnozy i przyrodzonej odporności, która pozwalała jej bezkarnie podróżować. Niech pan za rączkę pociągnie, wyszeptwała, powodowana litością. Za którą? — zapytał patrząc na nią coś oblesnie. Impertynent, pomyślała i zmusiła się w duchu żadnych rozmów nie prowadzić. Na stacji „Huci” napila się ciepłego kwiatu lipowego, przekąsiła aspiryną i już nie była głodna. Herbatę roznoszono w prze-makalnych filiżankach z niesewrskiej porcelany, tak, że nie tylko poparzyła palce ale i suknię oblała.

III.

Minęli stację Huci szczęśliwie. Magdalena stojąc na parapecie okna podziwiała szereg fabryk i kominów a przede wszystkim hut, skąd nazwa stacji i miejscowości była urobiona.

— Ale tu musi być gorąco — rzekł ten zielony.

— Nie wiem — odrzekła sucho.

— Tyle kominów sterczących, tyle ognia i nienadarmo ta nazwa ognista, tak, tak, ciągnął zapalczywie, wszędzie tu czuć „huć, huć”. Oczy



błyszczały mu niesamowicie, wzrok utkwiony w falujący biust Magdaleny.

— Czy pan może w tej miejscowości urodzony — zapytała — łamiąc ze wstrętem swe postanowienie.

— Skąd to pani do głowy przyszło?! — ryknął brutalnie, do krwi zadrażniony. Widzę, że pani kpi lub o drogę pyta — i oczami wskazał jej otwarte okno.

— Precz! Łajdaku niecny, krzyknęła Magdalena i śmiałym ruchem pociągnęła za rączkę. Strumień wody z łoskotem padł na głowę brutalą, porwał go za sobą i wciągnął pod koła. Zgrzyt łamanych kości, zapach świeżego mięsa rozszedł się w powietrzu. Fatalna pomyłka, pomyślała Magdalena, patrząc ze złością na rączkę hamulca bezpieczeństwa, za którą miała pociągnąć, ale jestem uratowana i spokojna od dalszych zaczepk a wyciągnąwszy dwa toruńskie pierniczki Dralle'go, macz ne w buljonie, karmiła nią oswojoną spirochetkę, bakterje tyfoidalne i tuberkuły. Pociąg rwał naprzód a wagonem, którym Magdalena jechała, trzęsło nielitościwie, coś z rozpaczą przekonała się, że to wagon ostatni, wobec czego postanowiła w myśl, nigdy ostatnim wagonem nie jeździć, a nawet, powodowana filantropją wnieść do ministra kolei podanie z prośbą o skasowanie przy pociągach osobowych ostatniego wagonu. Wśród tych rozmyślań, ryk konduktora obudził ją nagle. Zerwała się szybko, tu bowiem był kres jej podróży, wyrzuciła rzeczy przez otwarte drzwi, sama zaś dla pośpiechu wyskoczyła przez okno. Tu lokaj, ten sam, co nigdy nie miał zwyczaju mieszania się do rozmowy, pchnął ją lekko do powozu. Jak piłka wpadła, konie zaś pełnej rasy, ruszyły na oślep, stawiając od czasu do czasu dęba, zapewne z uciechy, iż mają ten zaszczyt, że niosą tak słynną autorkę.

IV.

NA WSI.

Rano leżąc od stóp do głów na herbowym łożu zrobionego z szefrytu odebrała dwa listy. Powąchawszy pismo rasowym swym noskiem wiedziała, że jeden z nich zapowiada przyjazd Adolaresgo, drugi zaś pisała Stańka. Będzie wesoło pomyślała, dawno „Samonarwanówka“ takich gości nie miała. Tu poprawiła swą postać na łożu wzdłuż i wszerz, zdawała bowiem słyhać było kroki lokaja, który popychając lewą nogą tacę, prawą otworzył drzwi i położył na łożu tacę z nieprzemakalnej serwskiej porcelany, na której rozciągnięty leżał omlot, cały złany sosem beszamelowym i słodką serwatką. Zapijała to wszystko wybornym ptasiem mlekiem, wybornym preparatem war-

szawskiej firmy „Spiess“. A gdy pierwszy głód zaspokoila, równie systematycznie zaspakajała drugi i trzeci. Po śniadaniu zabrała się do toalety. Zupełnie tak samo, jak Steńka zamydliła sobie oczy, czubkami palców, zamaczanymi w wodzie, reszty zaś dopełniła wyborną i wszystkim znaną w skutkach wodą Franciszka Józefa i jego siostry Józefinki, wolno tylko odstępstwo zrobiła. Steńka mydliła oczy tylko sobie, Magdalena chciała wszystkim zamydlić. Pędem wskoczyła w wiszącą obok suknię z angielskiego brokatu i już była ubrana. Przeciągnąwszy się ruchem lwicy salonowej wyszła do ogrodu, gdzie podziwiała boskie prawa natury. Na płocie do słońca, suszyły się wyprane chemicznie z talentu owoce jej pracy, te ze serca spłodzone. — Wchłaniała całą parą swych młodych piersi bajeczną woń nenuforów rosnących tuż na folwarcznym gnojowisku. Na drzewach ponawieszane egzotyczne ptaki miło drażniły jej organ słuchowy, wydając nienaturalne piski. Tu czajka na cały głos wrzeszczała niżej, niżej, tam przepiórka pod pempek, pod pempek, zachęcała człowieka do twórczej pracy, obok kiwająca się majestatycznie wrona wtórowała w klak, w klak, kaczka zaś patrząc figlarnie na uganijające po stawku rybki przytakiwała radośnie tak, tak, tak.

Tak wołała cała przyroda, myślała Magdalena, powrót do natury przypomniawszy sobie z biblii pierwszy grzech Adama i Ewy, których nie tylko wąż i nagość ciała, ale i świergające ptaszki do tego pobudziły. Poszła w stronę sadzawki, gdzie widokiem jej spłoszone stado śledzi, odrazu schowało się do beczki w tym celu przygotowanej. Podobnie rozigrane, jak moje myśli, a na widok tak pysznego porównania uśmiech zaskowytał na jej ustach. Trwało to chwilę, bo już Nuda, rodzona siostra Brudlozona siadła jej w kucki na białych piersiach i podawała fajkę nabitą antypiryną. Nie będą paliła pomyślała i odeszła w stronę kurników dworskich, gdzie fornał ordynaryjny krzyżował pantara z kurą liliputką. Przepowiedziała sobie w myśli reguły mendelizmu i rada ze swej przyrodniczej wiedzy pociągnęła się dalej za rękaw. Tu pulardy i kapłony ciesząc się ze swej obfitości kształtów, radośnie porykując, lubieżnie się obcierały o siebie. Miłość w przyrodzie, jak mówi Tołstoj, pomyślała.

Zdawała dochodził ogłuszający ryk rozplodzonego buchaja „Oresta“ za panną krową, którą przyprowadzili do niego w odwiedzin z plebanji. Ryk głuchy i tępy zawierał całą gamę wyznań miłosnych, szeptów i pieśń, krowa wtórowała chęcią powtórzenia miłosnej wizyty.

To wszystko ta „fizyka miłości“ Gaumonta, ze wstrętem przypomniawszy sobie opisane przez niego stosunki wielorybów, mrówek i innych tego rodzaju gadów. Biedne zwierzęta za co tak cierpieć muszą, westchnęła, patrząc jak brytan wielkości dobrego cielęcia dobierał się do Djany-jamniczki. Tak poważnie rozmyślając, pomknęła w stronę domu, by pisać nowe dziełko o zreformowaniu praw przyrody i umiejscowieniu organów płciowych w małym palcu od nogi.

Ulis.

Poradzili sobie.

— Budżet urzędników państwowych został zapewne niemało nadwyrężony także przez tak znaczną podwyżkę ceny dzienników?

— Wprost przeciwnie. Przedtem kupowali wspólnie jeden numer dziennika urzędnicy jednego wydziału a teraz całego departamentu! Mar.

Wyjaśnił!

— Dzienniki donoszą, że kolej i inne przedsiębiorstwa państwowe mają od-tąd być prowadzone na sposób handlowy. Jak to rozumieć?

— Całkiem prosto: Że wszystkie taryfy będą znacznie podwyższone!

*

— Wszystkie dzienniki donoszą, że między Arabami a Żydami panuje olbrzymi antagonizm.

— Widać, że jeśli idzie o żydów, to jest antagonizm od a do ż!

*

— Dlaczego ty chodzisz zawsze tylko na premjery do teatru?

— Bo to najtaniej!

— ?

— Teatry warszawskie tak ciągle podwyższają ceny, że bilet na piąte przedstawienie kosztuje już o 50% a na dziesiąte co najmniej 100% więcej!

Mar.

Zbytki.

Do Dra Ernesta Łunińskiego, kierownika Akademii dziennikarskiej w Warszawie, zgłasza się jakiś adept na skrybę dziennikarskiego z prośbą o przyjęcie go na Uniwersytet, przyczem jako kwalifikacje przedkłada całą paczkę swoich mamuskryptów.

Łuniński bierze je w rękę i mówi:

— Pan musisz być bardzo majątny?

— Z czego pan profesor to wnosi?

— Jeśli przy dzisiejszej drożyznie papieru może go pan tyle zapisywać...



Targi Wschodnie we Lwowie.



- Mańka! co ci się najwięcej podobało na III. Targach Wschodnich?
— Panorama Racławicka!